

PRZEWODNIK
PO MIEJSCACH NIEOCZYWISTYCH

W RZYMIE JAK W DOMU

ROSITA
STEENBEEK



1

Taksówki strajkowały. Wsiadam do autobusu, ciągnę walizkę w okolice jedyne wolnego miejsca i dopiero wtedy zauważam, że będę siedziała naprzeciwko włóczęgi. Ma siwą brodę i czapkę na głowie. Obok niego stoi wózek pełen rozmaitych rzeczy.

Wyciąga do mnie rękę i się uśmiecha. Podaję mu dłoń.

– Pani jest uczuciowym człowiekiem – mówi ochrypłym głosem.

– Szybko pan to zauważył.

Śmieje się.

– Jak się pani nazywa?

– Rosita Steenbeek, a pan?

– Luigi Pirandello.

Pochyla się nad wózkiem i wygrzebuje z niego plastikową torebkę. Wyjmuje z niej złożoną kartkę i mi podaje. Plan Rzymu, tak to miasto wyglądało dwa tysiące lat temu.

Patrzę na mapę, szukam miejsca, w którym mieszkam, ale nie mogę znaleźć.

– Interesujące.

– To dla pani.



Kocie forum.

– Ależ nie...

– Ależ tak. – Szpera w rzeczach. Słońce już zachodzi i Forum Romanum przybiera pomarańczową barwę z pocztówek. Zdecydowanym ruchem wyciąga czerwonego misia i sadza go na moich kolanach.

– Ładny, prawda? Lubię dawać prezenty.

Pasażerowie zaczynają się nam przyglądać.

– Gdzie pani musi wysiąść?

– Na Largo Argentina.

– Ja też. Może pójdziemy na kawę?

Zgadzam się po krótkim wahaniu.

Widziałam go już kiedyś, wiele lat temu, w zaułku, przy którym wtedy mieszkałam, w pensjonacie Arenula. Ta sama długa broda, czapka. Pchał przed sobą spory wózek.

– To wnuk Luigiego Pirandella – poinformował mnie przyjaciel. – Zbiera kartony.

Z dużą zręcznością podnosi wózek i wysiada z autobusu, a potem pomaga mi nieść walizkę. Na Largo di Torre Argentina jest wyjątkowo spokojnie, ponieważ trwają prace przy zamianie asfaltu na *selci*, kostkę brukową. Zwykle wokół wielkiego prostokątnego placu z ruinami czterech świątyń, nazywanego też kocim forum, szumi ruch uliczny. Pod jednym ze starożytnych łuków kilka kobiet prowadzi przytułek i szpital dla kotów. Mieszka tam rudy kocur Nero wraz ze swoją długowłosą przyjaciółką, kotką Poppeą. Kulawy kocurek reaguje na imię Klaudiusz, a hałaśliwy czarny nazywa się Pavarotti.

Idziemy do baru Argentina, gdzie często jem śniadanie.

– *Un caffè e un cappuccino* – rzuca Pirandello do kobiety za kasą.

Kiedy sięgam po portmonetkę, odpycha moją rękę stanowczym gestem. Zerkam do jego portfela (który wygląda zaskakująco porządnie), żeby przypadkiem nie wydał ostatniego grosza na moje espresso.

Zgodnie ze zwyczajem kładzie na paragonie drobne.
Chłopak za barem pozdrawia nas poważnym skinieniem.

– *Signorina*, Pirandello.

Mówi, że długo mnie tu nie widział.

– Właśnie wracam z Holandii – wyjaśniam, wskazując walizkę.

– *Sigaretta?*

Pirandello trzyma przed moim nosem paczkę emsów. *Morte Sicura*, pewna śmierć. Myślę o swojej przyjaciółce Marion, z którą spędziłam mnóstwo czasu w Rzymie – ona rzeczywiście nie przeżyła wypalenia tysięcy tych paczek.

Na wąsach Luigiego osiadły resztki cappuccino. Waham się chwilę, ale zwracam mu uwagę. Szuka czegoś w wózku, wyciąga wielką chusteczkę do nosa i wyciera nią usta.

– Ma pan imponujące nazwisko. To rodzina?

– Mój dziadek. – Zaciąga się papierosem, ma piękne dłonie o szczupłych palcach. – W dzisiejszych czasach nie odniósłby takiego sukcesu – ciągnie dalej z powagą. – Z talentem daleko się nie zajdzie. Dyplom nie wystarcza, dwa dyplomy też nie pomogą. Trzeba się umieć sprzedać. Nie chcę należeć do społeczeństwa. Nie chcę, żeby ktoś mi rozkazywał. Żeby mi mówił: „Masz przyjść do pracy o tej godzinie. O tej możesz wyjść”. Wolność, oprócz zdrowia, jest najważniejsza.

– Ma pan rację.

Nosi zniszczone, ale czyste ubranie: dżinsową kurtkę z podwiniętymi rękawami, ciemne szerokie spodnie i lniane buty, kiedyś białe.

Dawniej musiał być przystojnym mężczyzną, odnajduję w jego rysach podobieństwo do dziadka. Oczywiście poma-ga w tym spiczasta bródka. Ale także wysokie czoło i ciemne oczy o przenikliwym, chwilami melancholijnym spojrzeniu oraz pewnego rodzaju godność.

– Może się przejdziemy? – Uśmiecha się z dziecięcym zadowoleniem. Laska dodaje mu elegancji. – Może pójdziemy na spacer?

– Muszę wracać do domu rozpakować walizkę. Jestem zmęczona podróżą.

– Oczywiście, rozumiem. Może się kiedyś spotkamy?

– Z chęcią.

– Nie mam telefonu, możesz mi podać swój numer?

Wręczam mu wizytówkę z nadzieją, że nie będę żałowała.

Wkłada ją między plik kartek i spina dwiema gumkami. W kołnierzu kurtki wpięta jest cała kolekcja agrafek.

Ściska mi dłoń, kłania się lekko i odchodzi, jedną ręką pcha wózek, drugą trzyma laskę.

Za każdym razem mam wrażenie, że wracam do domu – czułam to nawet wtedy, gdy pierwszy raz przyjechałam do Rzymu. Wielu ludzi doświadcza czegoś podobnego, nie tylko ci, którzy studiowali łacinę i kulturę starożytnego Rzymu. Może dlatego, że w Rzymie człowiek zderza się z rzeczami ostatecznymi. Stare świątynie śmieją się z codziennych kłopotów, a wiadomości z gazet ścierają się w pył wobec pałaców cesarzy i papieży.

Rzym przynosi jednocześnie spokój i ekscytację, potrafi ukoić i pobudzić do działania. Pamiętam, jak po zawodzie miłosnym doszłam do siebie, spacerując wieczorem po Forum Romanum. I że uciekłam stąd po śmierci wszystkich ważnych osób z okresu mojego pierwszego pobytu w Rzymie – wielkiej miłości, przyjaciela i najlepszej przyjaciółki. Teraz wróciłam, a pamięć o nich wzmocniła moje więzy z Rzymem.

Rzym to dla mnie starówka z jej wąskimi uliczkami w ciepłych kolorach, od czerwieni przez wszystkie odcienie pomarańcza aż do piaskowej żółci zmieniającej się czasem w złoto. Tutaj, w sercu miasta, rozpoczęło się moje życie w Rzymie. Potem mieszkałam przez kilka lat na Awentynie, jednym z najbardziej eleganckich rzymskich wzgórz, pełnym szerokich alei wysadzanych drzewami i willi skrytych w ogrodach. Taka dzielnica mogłaby jednak być częścią każdego innego włoskiego miasta. Zateęskniłam za centrum.



Przed wejściem do mojego domu. Patron, święty Julian, spogląda z góry.
Fot. Annelies Rigter

Bo centrum jest jak dom, zaułki przypominają korytarze, trzy minuty spaceru dzielą dwa najpiękniejsze place miasta, może nawet świata: piazza della Rotonda z Panteonem, czyli najlepiej zachowaną świątynią z czasów starożytnych, i piazza Navona. One są dla mnie czytelną, salą śniadaniową, salonem, w którym przyjmują gości.

Nad ruinami świątyń pośrodku placu Largo di Torre Argentina postawiono plandeki. Wszystko jest szorowane, skrobane do czysta i odnawiane.

Jakiś kot wybrał się na wieczorny spacer.

Przed teatrem operowym Teatro di Roma Argentina, na rogu via del Sudario, gdzie mieszkam, podczas mojej nieobecności wybudowano końcową stację tramwajową¹. W tym miejscu rozgrywały się w starożytności największe dramaty – tu zamordowano Juliusza Cezara.

Zaraz muszę wyjąć mapę, którą dostałam od Pirandella.

Ciągnę walizkę przez wąską szesnastowieczną uliczkę aż do starej bramy belgijskiego kościoła San Giuliano dei Fiamminghi – Świętego Juliana z Flandrii. Zanim wejść do środka, patrzę jeszcze pokornie do góry na postawnego mężczyznę w szerokim płaszczu, który jest teraz moim stróżem. Święty Julian niegdyś był rozwiązłym człowiekiem, wrócił raz z polowania do domu i zastał w łóżu małżeńskim dwie obejmujące się czule postaci. Wyjął miecz i jednym ciosem zabił niewierną żonę i jej kochanka. Kiedy odsunął przykrycie, okazało się, że uśmiercił swoich rodziców. Chcieli mu zrobić niespodziankę i właśnie wypoczywali po podróży. Julian stał się bardzo pobożny i założył dom opieki dla włóczęgów.

Od wielu lat mieszkam w tym przykościelnym pałacu, w celi klasztornej, która przypomina elegancki salon, w bu-

¹ Tymczasem stację końcową przeniesiono, stoją tam teraz budynki bankowe (przyp. aut.).

dynku przylegającym do przepięknej kaplicy z 1096 roku. W owym roku przyjechał tu Robert II Jerozolimski, hrabia Flandrii, pierwszy flamandzki rycerz wypraw krzyżowych. Został sakiewkę złota z przeznaczeniem na budowę kościoła przy schronisku dla pielgrzymów z Niderlandów, które prawdopodobnie istniało już w ósmym wieku.

Otwieram drzwi wielkim mosiężnym kluczem, ciągnę walizkę przez hol – wiszą w nim zdjęcia z Brugii, Gandawy i Antwerpii – przechodzę obok zakrystii, pokonuję niewielkie schody i otwieram następne drzwi.

Nic się tu nie zmieniło od mojego wyjazdu.

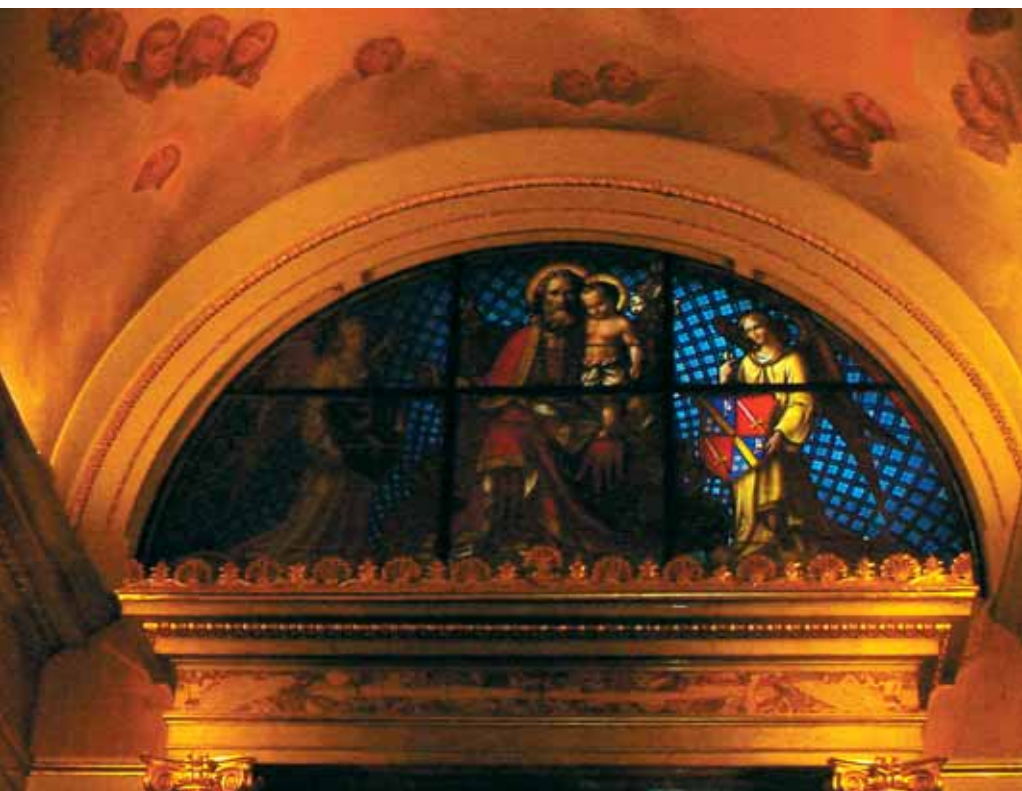
Wokół panuje prawie nabożna cisza, mury grube na kilka metrów chronią moje mieszkanko przed hałasem ulicznym.

Wchodzę po schodkach na taras z widokiem na wewnętrzny dziedziniec. Jaśmin przekwitł, kwitnie obficie bugenwilla, ale z małych doniczek wystają tylko wstrętne chwasty.

Nad witrażem przedstawiającym świętego Józefa z synem – widać Matka leżała jeszcze w połogu – oddzielającym mój taras od kościoła przytwierdzono lampy. Dzięki temu, kiedy nie pada na niego światło słoneczne, można z wnętrza świątyni podziwiać jego piękno. Do tej pory podczas wieczornych nabożeństw wierni widzieli jedynie czarną plamę, tylko ja byłam gościem stajenki betlejemskiej.

Na dziedzińcu szumi fontanna. Strumień wody wypływa z pyska lwa, na lwie siedzi niewielki aniołek wyrzeźbiony przez tego samego flamandzkiego artystę, który stworzył sławne posągi na moście Świętego Anioła. Właściwie to tajemnica – ze względu na niebezpieczeństwo grabieży. Jeśli zostanie wkrótce skradziony, to złodziejem będzie zapewne wdzięczny czytelnik mojej książki.

Od czasu do czasu rozlegają się krzyki przelatujących mew. Sąsiednie biura opery stoją puste. Dyrektor, który urzędował w pokoju obok mojego tarasu, trafił za kratki za oszustwa. Całe lato dobiegały mnie jego kompromitujące rozmo-



Witraż z przedstawieniem Józefa z synem.
Z drugiej strony tego okna znajduje się mój taras.



Mój taras z witrażem kościoła.

wy telefoniczne. Szkoda, że go nie ma, był interesującym sąsiadem.

Głośne fragmenty przedstawień operowych też dochodziły do mojej celi. Co wieczór słyszałam bolesne okrzyki rozpacz: to Rigoletto odkrywał, że przyczynił się do śmierci swojej córki.

Tacy sąsiedzi to sama przyjemność. Przez kilka tygodni codziennie pod wieczór chodziłam do teatru, żeby posłuchać, jak wielki reżyser Giorgio Strehler z Piccolo Teatro di Milano czytał *Boską komedię*, a cała starsza część publiczności recytowała po cichu tekst razem z nim.

Nade mną, na tarasie Jego Ekscelencji Wenera, nie pali się światło. Nie ma też ojca Hugona, obecnego rektora kościoła Świętego Juliana, skrył się przed letnimi upałami w Belgii.

Chce mi się pić, zaglądam do lodówki. Stoi w niej butelka prosecco, pewnie Olafa, który nocował tu przez kilka tygodni. Olaf jest moim jedynym żyjącym przyjacielem z czasów, kiedy pierwszy raz mieszkałam w Rzymie. Kilka lat temu wrócił do Norwegii, a teraz przyjechał na krótko, żeby pisać jakies artykuły i książkę.

Wracam z kieliszkiem i butelką na taras.

Zrobiło się ciemno, zapalam świeczki na siedmioramiennym świeczniku i biorę do ręki mapę od Pirandella.

Już od dawna chcę się dowiedzieć, jak wyglądała ta dzielnica, kiedy Rzym był pępkiem świata, ale jak dotąd miałam zbyt wiele zajęć w Rzymie współczesnym.

Przyglądam się mapie z uwagą i po jakimś czasie pojmuję: cała moja dzielnica jest zbudowana na terenie ogromnego kompleksu Teatru Pompejusza – wielkiego wodza armii rzymskiej, który w pierwszym wieku przed naszą erą zdobył Syrię, podbił Jerozolimę, a z Palestyny uczynił prowincję rzymską. Ożenił się z córką Cezara, Julią.

Półkole amfiteatru łączyło się z prostokątną kolumnadą. Jeden z jej długich boków leży dokładnie pod domami mojej via del Sudario – ulicy chusty do ocierania potu, drugi pod

sklepami z odzieżą na via dei Giubbonari, ulicy krawców szyjących płaszcze. Krótki bok znajduje się pod placem Largo di Torre Argentina. A pod obecną operą, Teatro di Roma, musi się znajdować budynek senatu Pompejusza, Curia Pompeia.

A więc to prawda, Cezar został zasztyletowany pod moimi drzwiami. 15 marca 44 roku przed naszą erą senatorowie zebraли się w jednej z sal senatu w Teatrze Pompejusza, ponieważ stary budynek senatu na Forum spłonął.

Telefon.

– Rosita?

– Si.

– *Sono Luigi*. Przyjdiesz jutro do jadłodajni?

– Gdzie to jest?

– W Colle Oppio, blisko Żółtego Domu Nerona, Domus Aurea. Mam dla ciebie mnóstwo prezentów.

– Jutro nie mogę, czeka mnie masa spraw do załatwienia.

– No to innym razem. Jesteś panią swojego życia. Zadzwoń do ciebie, dobrze?

Jestem ciekawa i jadłodajni, i Żółtego Domu Nerona, pałacu cezara, ale jutro to trochę za wcześnie. Czy postąpiłam rozsądnie, podając mu numer telefonu?

Wracam do studiowania mapy.

Nagle cała Święta Rodzina w pełni chwały ukazuje się na moim tarasie. W kościele zapalono światła. Po chwili słyszę dźwięki klawesynu. To pewnie Massimiliano Vassari, młody organista i klawesynista, który uświetnia muzyką niedzielne msze poranne; przychodzi tutaj regularnie ćwiczyć i raczej mnie prywatnymi koncertami.

Bach.

Białe kwiaty na balkonie z naprzeciwka jaśnieją w ciemności. Zwykle palą się tam lampki oliwne, ale rodzina Di Capua też chyba uciekła przed upałem. Lubię Rzym w sierpniu, ulice są puste jak na starych filmach.

Jestem zmęczona, rozpakowuję walizkę, wieszam letnie sukienki w szafie, chowam zimowe ubranie do walizki i szukam klucza do piwnicy. W takim małym mieszkaniu trzeba sobie jakoś radzić.

Najpierw otwieram drzwi z napisem „Zakrystia”. Za nimi znajduje się niewielki korytarz i dwie pary drzwi. Te z prawej prowadzą do zakrystii, te z lewej – do schodów na dół, które przenoszą mnie w inny czas.

Naciskam włącznik, zapala się nikłe światełko. Schodzę ostrożnie po stopniach, zatrzymuję się w ciemnym korytarzu. Kolejny włącznik słabej lampy. Jest trochę zimno. Ciemny korytarz zakręca i wychodzi na pomieszczenie z łukowym sklepieniem. Ustawiam walizkę między pudłami, stosami starych dachówek i wysłużonymi meblami. Ściany częściowo pobielono wapnem, przeświecają spod nich stare cegły.

To tędy biegła kolumnada, którą widziałam na mapie. Senatorowie mogli przechodzić z teatru bezpośrednio do budynku senatu. We wszystkich piwnicach pod *via del Sudario* muszą się znajdować pozostałości tej galerii. Na dziedzińcu między kolumnami z różowego marmuru miał się rozpościerać wspaniały ogród z fontannami i posągami z rzymskich prowincji. Największy z nich podobno przedstawiał postać samego Pompejusza i mówią, że jeszcze istnieje.

Kładę dłoń na wilgotnych kamieniach i przypominam sobie wersy ze *Sztuki kochania* Owidiusza, którą musiałam kiedyś przekładać w szkole:

Na Adonisowych świętach
sposobności nie są rzadsze –
lecz najskuteczniej swe sidła
zastawiać można w teatrze.

Znajdziesz kobiet cudnych krocie:
tę – oszukać będziesz w stanie,

tamta zajmie cię przelotnie,
innej – dasz swe miłowanie...¹

Owidiusz znał to widać z własnego doświadczenia. Może opierał się o ten mur, kiedy flirtował z jakąś kobietą. W *Żalach* (*Tristia*) znów pisał: „Różnię się od mej pieśni memi obyczajami, żyję czysty, a Muza żartuje, wierzaj mi”². Przebywał wtedy nad Morzem Czarnym, gdzie został zesłany, podobno za uwiedzenie córki cesarza Augusta.

Owidiusz był dla mnie imieniem, źródłem tekstów do przekładów. Tutaj przekonuję się ze zdumieniem, że to żyjący dawno temu człowiek. Tak jak wszyscy bohaterowie opowiadań i powieści, którzy wydawali się wytworami języka, w Rzymie okazują się prawdziwymi ludźmi. Ten budynek odwiedził kiedyś Karol V Habsburg, nocował w domu naprzeciwko. Rubens pracował w pobliżu, malując obrazy do kościoła Chiesa Nuova. Cesarz Hadrian polecił zbudować Panteon, który stoi vis-à-vis baru, gdzie często chodzę na kawę lub drinka.

Słyszę szuranie. Szczur? Podobno kłębi się od nich w Rzymie. A może to moje własne kroki. Albo duch Juliusza Cezara – może właśnie tędy przechodził, zanim został zasztyletowany? Kto wie, czy to nie w tym miejscu wręczono mu rulon z notatką zdradzającą zamach. Włożył go między inne dokumenty, żeby przeczytać potem. Ale potem nigdy nie nastąpiło. Zlekceważył wszystkie znaki, jakby chciał umrzeć. Spurrinna, etruski haruspik, kapłan zajmujący się wróżeniem z wnętrzości zwierząt, ostrzegł Cezara przed niebezpieczeństwem, które miało nastąpić w idy marcowe, czyli piętnastego marca. Dzień wcześniej do sali senatu Pompejusza wleciał strzyżyk z gałązką laurową w dziobie, za nim przyfrunęły inne ptaki,

¹ Owidiusz, *Sztuka kochania*, przeł. Julian Ejsmond, Warszawa 1957, s. 11.

² Tenże, *Żal. Do Augusta*, [w:] tegoż, *Wiersze na wygnaniu pisane, to jest Rzeczy smutne, Kłątwa na Ibisa, Listy z Pontu*, przeł. Jacek Przybylski, Kraków 1802, s. 44.

które rozdziobały tę gałązkę. Sam Juliusz śnił, że unosi się nad chmurami i podaje rękę Jupiterowi. Wobec tak pociągającej perspektywy nie przywiązuje się specjalnej wagi do życia ziemskiego. Cezar, kiedy zdał sobie sprawę, że ciosy są śmiertelne, w ostatnim geście wygładził tożę, żeby porządnie wyglądać w obliczu śmierci.

Kiedyś, spacerując po Forum, przechodziłam obok posągu Cezara i zobaczyłam, że jego stopy są okryte kwiatami. Dopiero po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że właśnie wypada piętnasty marca...

Wracam po schodach na górę i jeszcze na chwilę przysiadam na tarasie. Józef i Jezus znowu zniknęli w ciemnościach. Na stole leży maskotka, prezent od Luigiego Pirandella. Składam parasol i patrzę na niebo usiane gwiazdami. Po śmierci Juliusza Cezara na nieboskłonie przez siedem dni jaśniała kometa: to dusza wielkiego zdobywcy świata wędrowała do nieba.

Nie widzę duszy Cezara, ale widzę planetę Wenus i gwiazdozbiór Kastora i Polluksa. Na Forum, kilka ulic dalej, właśnie czyszczą ich świątynie, przygotowują je na rok jubileuszowy.

Z daleka dobiega szum samochodów. Rzymianie rozpoczynają nocne życie. Zdmuchuję świeczki, zabieram do domu dziwną maskotkę od Pirandella, kładę ją na krześle i idę spać.



Na moim tarasie.
Fot. Annelies Rigter

2

Słońce oświetla pomarańczowy mur mojego tarasu.

Patrzę z łóżka, jak kos kąpie się w misce wody. Nastawiam Radio Watykańskie, jedyną stację, która nie nadaje reklam, biorę prysznic w łazience przerobionej z balkonu – dawniej zakonnice obserwowały z niego celebrację mszy świętej.

Kiedy się ubieram, słyszę ostatnią część nabożeństwa po łacinie. Słyszałam już ten język z najróżniejszymi akcentami, bo codziennie mszę odprawia ksiądz innej narodowości.

Potem są wiadomości po włosku, francusku i angielsku. W trzech językach podaje się nie tylko wiadomości ze świata, lecz także informacje o wakacjach papieża w północnych Włoszech.

Najbardziej sensacyjna jest nowina o kradzieży odcisków stóp Chrystusa, marmurowej płyty z kościółka Quo Vadis przechowywanej w kościele Świętego Sebastiana przy via Appia. Według legendy, kiedy apostoł Piotr uciekał z Rzymu przed prześladowaniami chrześcijan, na via Appia ukazał mu się Jezus. *Domine, quo vadis?* – zapytał Piotr. *Romam, iterum crucifigi* – brzmiała odpowiedź. Do Rzymu, by mnie ponownie ukrzyżowano.

Piotr stał zdziwiony na drodze, ale odciski stóp Jezusa przekonały go, że to nie był sen. Zawstydzony własnym tchórzostwem, zawrócił do Rzymu, gdzie spotkała go śmierć na krzyżu.

Trwają intensywne poszukiwania płyty.

Wychodzę, żeby napić się kawy i zrobić zakupy. Niebo jest nieskazitelnie błękitne; dopiero wybiła dziesiąta, a już zrobiło się bardzo ciepło. Nigdy nie przestanę zachwycać się pięknem i niezwykłością mojej uliczki. Jest niezbyt długa i raczej wąska, ale stoi tu wiele okazałych *palazzi*, wszystkie mają imponującą historię. Kupowanie pasty do zębów lub chleba w takim otoczeniu jest przeżyciem.

Po sąsiedzku znajduje się casa del Burcardo. To jeden z nielicznych gotyckich budynków w Rzymie, po wielu latach z fasady wreszcie zdjęto rusztowania. Jest głęboko czerwony i ma kolorowe okna witrażowe, w których stoją skrzynki z kwiatami. W gmachu mieszczą się biblioteka teatralna, muzeum teatru i sekretariat stowarzyszenia pisarzy i wydawców. Muszę się tam niedługo wybrać, żeby zobaczyć rękopisy i autograf dziadka Pirandella. Bibliotekarz opowiadał mi, że kamienicę zbudowano pod koniec piętnastego wieku na zlecenie Johannes Burckarda, biskupa pochodzącego ze Strasburga, zaufanego wielu papieży, między innymi Aleksandra VI. Strasburg to po łacinie Argentoratum; nazwa placu Largo di Torre Argentina nie ma nic wspólnego z Argentyną, ale odnosi się do zburzonej dawno temu wieży tego budynku.

Rusztowania ustawiono przy Chiesa del Sudario. W kościele tym przechowywano chustę, którą Jezusowi ocierano pot z czoła. Przez długi czas chodziła tam włoska rodzina królewska, Craxi, przywódca partyjny socjalistów i wieloletni premier Włoch, zamknął jednak świątynię przed pielgrzymującymi do niej rojalistami. Z tego, co widać, kościół rozpoczyna nowe życie. Elewację maluje się z zapalem, a Craxi przebywa w bezpiecz-



Moje biurko (po drugiej stronie aniołków).

nej odległości, w tunezyjskim raju, gdzie cieszy się życiem i szasta zdefraudowanymi pieniędzmi.¹

Trwają prace renowacyjne w budynku naprzeciwko, zaprojektowanym przez Rafaela Palazzo Vidoni. Nocował tutaj Karol V Habsburski. Wyobrażam sobie, jak cesarz przechodził tędy w drodze do kościoła Świętego Juliana, żeby odwiedzić Flamandów. W końcu urodził się w Gandawie.

Sant' Andrea della Valle, kościół, w którym rozgrywa się jeden z aktów *Toski*, wydobył się już spod plastikowych zasłon. Zawsze, kiedy spotykam na mojej ulicy listonosza, zaczyna on śpiewać arię z tej opery, a kiedy trafiam na niego przy Teatro di Roma, śpiewa coś z *Cyrulika sewilskiego*, którego premiera miała miejsce właśnie tutaj.

To, że te kamienice stoją w pobliżu mojej ulicy, jest zupełnym przypadkiem, niemniej każda ulica w Rzymie ma jakąś historię.

Za rogiem, na via del Monte della Farina, znajduje się niewielka drogeria.² Ekspedientka Paola rozmawia przez komórkę. Nie pozdrawia mnie tak serdecznie jak zwykle. Często nawet po kupieniu u niej mydła czy szamponu całowała mnie na pożegnanie.

Odkłada telefon i daje mi dwa całusy na powitanie, ale w oczach ma smutek.

– Co słyhać?

– Ach – wzdycha głęboko.

– Kłopoty z...?

– Nie ma go już.

– A gdzie jest?

Unosi wzrok, rozumiem, że ma na myśli niebo, chociaż przez wiele lat życzyła szefowi tylko piekła. Kiedy wchodzi-

¹ Bettino Craxi zmarł w 2000 roku w Tunezji, dokąd uciekł przed aresztowaniem w 1994 roku (przyp. red.).

² Drogerię zlikwidowano. Na jej miejscu trwają prace renowacyjne, zapytałam robotników, co tam będzie. „Dekoracje filmowe” – odpowiedzieli (przyp. aut.).



Kiosk na rogu mojej ulicy, przed nim sąsiadka, była tłumaczka trzech ostatnich papieży.

łam do sklepu, prowadziła mnie do kącika z perfumami, żeby ulżyć swojemu sercu. Narzekła, że dłużej już nie wytrzyma, ten okropny facet wpędzi ją do grobu.

Teraz bardzo przeżywa jego śmierć. Włosi potrafią okazywać uczucia. Razem z chłopakiem, który wyłonił się z magazynu, próbują dalej prowadzić sklep.

Składam jej wyrazy współczucia, życzę wytrwałości i żegnamy się uściskiem.

Idę dalej i odkrywam kolejne źródło jej frustracji. Niepozorne drzwi w starym *palazzo* okazują się wejściem do supermarketu. Przez wszystkie lata, odkąd tutaj mieszkam, nigdy nie przekroczyłam progu takiego przybytku – również dlatego, że ku mojemu zadowoleniu nie było ich w centrum miasta.

Od pana z kiosku z gazetami dowiaduję się, że właściciele okolicznych sklepików próbowali powstrzymać powstanie tego polipa, ale „firma GS ma doskonałe koneksje w radzie miasta. Niestety, tak to wygląda”.

Zamawiam kawę w barze Poppea¹ na placu del Paradiso. Obsługujący mnie chłopak dokłada starań, żebym uwierzyła, jak bardzo za mną tęsknił.

Picie kawy jest we Włoszech prawdziwym przeżyciem. Kelner z nonszalancką zręcznością obsługuje ekspres, stawia filiżankę, podsuwa cukierniczkę i otwiera pokrywkę. Oczywiście nie należy zapominać o pysznym smaku. Pani obok mnie zamawia cappuccino bez pianki, a jej przyjaciółka caffè macchiato freddo, czyli espresso z kroplą zimnego mleka. Nie ma innego kraju, w którym kawa przybierałaby tyle postaci co we Włoszech. Choćby caffè corretto, „kawa z poprawką”, czyli z odrobiną alkoholu. Najpiękniejsza kawa jest jednak w Neapolu. Pewnego razu, kiedy piłam tam caffè freddo, do środka wszedł zaniedbany mężczyzna i poprosił o caffè sospeso.

¹ Bar ustąpił miejsca sklepowi odzieżowemu, szklane „okno” zakryte, ale w toalecie widać jeszcze kolumnę z Teatru Pompejusza (przyp. aut.).

Barman popatrzył na kartkę – tak, można zamówić. To była „zawieszona kawa”, zapłacona przez jakiegoś anonimowego klienta, który nie miał drobnych i zapłacił więcej albo postanowił zostawić różnicę na cel dobroczynny zamiast napiwku.

Ciekawe, co się dzieje z Pirandellem.

Na ścianach wiszą łacińskie przysłowia, a na drzwiach do toalety napis „Vespasiano”.

W podłogę wmontowano tafłę szkła, stoją na niej stolik i dwa krzesła. Na jednym z nich huśta się dziewczynka. Przez szkło można zajrzeć do pomieszczenia z czasów starożytnych. Pytam barmana, czy wie, co tam było.

– Zdaje się, że to garderoba Teatru Pompejusza, ale musisz spytać Pietra, zaraz tu będzie.

Wychodzę na chwilę do Vespasiana. W niszy w ścianie widać smukłą kolumnę z różowego marmuru. Czyżby była częścią kolumnady pod moim mieszkaniem?

Tytus, syn cesarza Wespazjana, zarzucał ojcu, który miał przywrócić porządek w finansach po ekscesach Nerona, że wprowadził podatek nawet od toalet publicznych. Cesarz podsunął mu monetę pod nos i zapytał, czy śmierdzi. „Nie” – odpowiedział Tytus. „A pochodzi z latryny. *Pecunia non olet*”.

– Ta kolumna należała prawdopodobnie do dekoracji sceny z czasów starożytnych – mówi Pietro, który tymczasem przyszedł i pije espresso przy barze. Jest serdecznym, nieco otyłym mężczyzną w średnim wieku. Opowiada, że tylna ściana sceny składała się z trzech pięter podtrzymywanych przez sto pięćdziesiąt kolumn z różowego, zielonego i żółtego marmuru.

– Kolumny w galerii były znacznie większe. Czterdzieści ze wszystkich stu znalazło nowe przeznaczenie. Są tutaj, niedaleko, w watykańskiej Kancelarii Apostolskiej.

– Niezła układanka.

– Można tak powiedzieć. Zauważyłaś, że ta ulica za nami skręca dokładnie po łuku trybun? Chodź, pokażę ci.

Zawsze mnie zadziwia pasja, z jaką Włosi opowiadają o przeszłości.

Na placu jest cicho, upał rośnie z każdą minutą.

– To, co wtedy zabudowano, stoi do dziś, tam, gdzie niczego nie było, dzisiaj też nic nie ma. W piwnicach wszystkich domów w tej okolicy znajdują się mury teatru – mówi z entuzjazmem Pietro. – Wszystko widać doskonale na zdjęciach lotniczych. Ten olbrzymi teatr mógł pomieścić dwadzieścia tysięcy ludzi. Teatrów właściwie nie wolno było budować, szkodziły moralności, ale Pompejusz wymyślił podstęp i nad trybunami umieścił świątynię Venus Victrix, zbudował ją dokładnie w połowie wielkiego półkola, tak że trybuny zdawały się tworzyć schody do świątyni.

Patrząc na wysokie domy przy via di Grotta Pinta układające się w olbrzymi łuk i oczyma wyobraźni widzę, jak zmieniają się w trybuny wypełnione widzami – jest ich dwadzieścia tysięcy – którzy zaśmiewają się z komedii Plauta i Terencjusza albo wzdragają przy masakrze pięciuset lwów, dwudziestu słoń i hordy rysiów, jak to miało miejsce podczas otwarcia teatru w 55 roku przed naszą erą.

Teatr wyłożono marmurem i wszędzie ustawiono posągi. Kiedy Neron przyjmował tu Mitrydatesa, wszystko kazał pokryć złotem. Od góry teatr był otwarty, ale w razie deszczu lub ostrego słońca rozpinano nad nim płótno żaglowe, jak w Koloseum. Zajmowali się tym żeglarze.

– Stoimy teraz mniej więcej na wysokości siódmego stopnia. Starożytny Rzym leży od dwóch do dwunastu metrów poniżej poziomu dzisiejszego miasta. Wylewający Tyber nanosił wciąż nowe warstwy błota, ale do stopniowego podwyższania poziomu ulic przyczyniły się też trzęsienia ziemi i niedbalstwo ludzi, którzy nie uprzętały gruzów.

Pietro gestykułuje zapamiętale i ciągnie dalej:

– Do tysiąc pięćset dwunastego roku pomniki nie należały do nikogo. Każdy mógł z nimi robić, co mu się podoba-

ło. Nowe domy budowano z kamieni wyniesionych z Forum i z łaźni. Marmurowe kolumny i posągi wypalano w piecach na wapno. Jeszcze łatwiej było zamieszkać pod sklepieniami teatru. Do dwudziestego wieku ludzie mieszkali pod łukami Teatru Marcellusa, który zachował się do naszych czasów, i to nie pod ziemią. Mieściło się tam też sporo sklepików. Łuki Teatru Pompejusza zabudowano w ten sam sposób.

Na jego twarzy błyszczą kropelki potu.

– Pomniki przeszłości, takie jak Koloseum czy Kapitol, stały się własnością bogatych rodzin. Nawiasem mówiąc, górna część Teatru Marcellusa jeszcze dziś należy do rodziny Orsinich. Typowo włoska sytuacja: ziemia, na której stoi teatr, należy do państwa, dolna część teatru należy do miasta, a górna jest własnością prywatną. Budynek przecieka, przez co niszczy dolne części teatru, ale rodzina nie chce umożliwić dostępu do wyższego piętra. Miasto patrzy bezsilnie, jak teatr w szybkim tempie popada w ruinę.

Spoglądam znowu na domy w półkołu. Chętnie zobaczyłabym te piwnice.

– Jadłaś kiedyś w Da Pancrazio?

– Nie.

– To za rogiem. Siedzi się tam pośród murów teatru, a właściwie na miejscu świątyni Wenus. Znasz ten dziwny, wystający budynek przy Campo de' Fiori, obok kina, Palazzo Orsini Pio Righetti? Odwzorowuje dokładnie kontury świątyni sprzed dwóch tysięcy lat.

– Od lat kupuję tam warzywa, owoce i kwiaty i nic o tym nie wiedziałam.

– Życia nie wystarczy, żeby to wszystko poznać. Rzym jest jak morze. Im dalej, tym głębiej.

Musi wracać do baru.

– *Scusa*¹, że przeszkodziłam ci w pracy.

¹ *Scusa* (wł.) – przepraszam.

– Ależ było mi bardzo miło. Chętnie o tym rozmawiam. Wejść jeszcze do tamtego hotelu. Sala śniadaniowa znajduje się w części starego teatru.

– Pójdę dzisiaj na obiad do Da Pancrazio.

– Przyjdź powiedzieć, czego się dowiedziałaś.

Pietro wraca do pracy, a ja idę do hotelu Teatro di Pompeo. Portier tłumaczy Amerykanom uroczym angielskim z włoskim akcentem, jak znaleźć fontannę di Trevi i gdzie można kupić dobry aparat fotograficzny.

Hol jest nieduży i prosty. Szerokie schody prowadzą na dół, ale nie zapalono światła, więc patrzę w ciemność. W momencie, gdy portier chce zwrócić się do mnie, następną parą Amerykanów potrzebuje jego rady.

Kiedy i oni sobie idą, pyta, jak może mi pomóc. Mówię, że chcę lepiej poznać dzielnicę, w której mieszkam już od dziesięciu lat.

– Pana sąsiad z naprzeciwka powiedział mi, że znajdują się tu pozostałości Teatru Pompejusza.

– Zgadza się – odpowiada trochę zmęczonym głosem. Ma kruczoczarne włosy, ciemną skórę i jeszcze ciemniejsze oczy.

W milczeniu schodzi po schodach i włącza światło.

Stoję w dużym pomieszczeniu o łukowym sklepieniu. Stoliki są już nakryte do śniadania.

Mężczyzna wraca na górę bez słowa. Przechadzam się po sali. Ściany zbudowano w technice *opus reticulatum* (układ sieciowy), z kwadratowych cegieł ułożonych skośnie, w romby. Do czego służyło to pomieszczenie? W którym miejscu teatru się znajduje? Dlaczego ten chłopak nie chce mi tego wytłumaczyć? Jest tak mało rozmowny, bo nic na mnie nie zarobi i tylko straci czas? Może mu zaproponuję jakąś sumę, ale co, jeśli się obrazi?

Stoi teraz na szczycie schodów i rozmawia z dwiema Francuzkami. Kiedy wychodzą, znowu trochę niechętnie do mnie schodzi.



Przy fontannie Trevi: jedna moneta wystarczyła,
żebym wróciła do Rzymu na zawsze.



ŚWIETNIE NAPISANY I ZASKAKUJĄCY
PRZEWODNIK PO RZYMIE
DLA NOWICJUSZY I STAŁYCH BYWALCÓW.

.....

Rosita Steenbeek mieszka w Rzymie od 1985 roku i zna miasto doskonale. Opowiada o niezwykłych miejscach, do których turysta zaczytany w standardowych przewodnikach nigdy nie dotrze, mimo że ma je na wyciągnięcie ręki: kościołach o czterech poziomach, każdym z innej epoki historycznej, wysypisku śmieci z czasów cesarza Augusta przebudowanym na dyskotekę, podziemiach Teatru Pompejusza w prywatnej piwnicy, kocim forum, tajnym archiwum w Watykanie, Złotym Domu Nerona czy ruinach świątyni Wenus. I czy ktoś wie, skąd się wzięła „zawieszona kawa”?

TE I INNE WSPANIAŁOŚCI TWORZĄ NIEZWYKŁY
I NIEPOWTARZALNY KLIMAT MIASTA.

PATRONAT MEDIALNY

WP książki

cena 36,90 zł

www.marginesy.com.pl



9 788363 656690